

# Mówi Izabella Cywińska:

– Adaptacja „Bożej podszewki” nie jest pani pierwszym zawodowym spotkaniem z twórczością Teresy Lubkiewicz–Urbanowicz. Wcześniej, w Teatrze Nowym w Poznaniu, reżyserowała pani „Wijuny”, które otrzymały kilka nagród na Festiwalu Dramaturgii Polskiej we Wrocławiu. Co panią najbardziej pociąga w tej literaturze?

– Coś panu powiem. Teresa przyjechała na jedną z końcowych prób „Wijunów” i w zasadzie wszystko zaakceptowała. Ale w pewnym momencie odwołała mnie na bok i powiedziała szeptem: *Takiej sceny u mnie nie było, ja tego nie napisałam.* Pokazałam jej tekst z „Dialogu”. Udowodniłam, że się myli. Była zaskoczona. To drobne wydarzenie oddaje istotę jej pisarstwa. Wo mimo że sama uważa się za realistkę, że – jak twierdzi – nie potrafi oderwać się od własnych korzeni, doświadczeń, że czerpie ze świata, którego dotknęła i pisze językiem swojego dzieciństwa, jednocześnie miewa momenty niezwyklej poetyckich „odlotów”, kiedy tak dogłębnie przetwarza rzeczywistość, że sama potem nie wie, co jest prawdą, co kreacją, co jej, a co cudze. I to jest u niej fascynujące. Podobnie dzieje się w „Bożej podszewce”, która w dużej mierze oparta jest na prawdziwych zdarzeniach.

– Problemowi prawdy i kreacji poświęcony będzie dokument, który ma towarzyszyć serialowi.

– Tak, robi go Renata Czarnkowska. Namówiłam ją, korzystając z rzadkiej okazji, że autorka jest zarazem pierwowzorem jednej z bohaterki serialu, by oszukując czas i historię, dziś pokazała jej spotkanie, hen na Łukaszenkowskiej Białorusi, z ludźmi, którzy kiedyś tam z nią żyli i wciąż żyją. I może jeszcze pamiętają to, co autorka zapisała, mimo że historia bez ich woli zmieniła im świat.

– Tarsa Lubkiewicz–Urbanowicz pojawia się także w jednej ze scen filmu.

– Tak. Uczestniczy w scenie chrztu Maryśki. W życiu to była jej matka, u nas główna bohaterka serialu. Oczywiście, nikt z widzów nie będzie wiedział, że tam, w ławce, siedzi autorka i uczestniczy w filmowym chrzcie swojej matki. I tu znów prawda spotkała się z fikcją. Wie pan, w ogóle jest w tym wszystkim jakaś przedziwna tajemnica, którą czuliśmy wszyscy na planie – tajemnica jakiejś nieprawdziwej prawdy... jeśli to coś znaczy.

– „Boża podszewka”, mimo że nagrodzona w konkursie literackim ogłoszonym przez Fundację Kultury, nie była powieścią, o której by się dużo i głośno mówiło.

– Książka miała bardzo dobre recenzje, skomentował ją także Czesław Miłosz. Ale pozostała w cieniu, nie tylko z powodu małego nakładu. Niestety, taki jest w polskiej kulturze w tej chwili klimat. Idziemy utartymi drogami. Nowe musi zbulwersować, żeby było zauważone. A „Boża podszewka” nie szokuje. Ale trzeba umieć handlować nie tylko proszkiem Vizir, lecz również towarem innego rodzaju, także tym trudnym, w nie zawsze efektywnym opakowaniu. Inaczej to, co istotne w kulturze, przejdzie nie zauważone, może zginąć. To dotyczy „Bożej podszewki” i wielu innych nowych pozycji.

– Obawia się pani, że taki los może spotkać serial?

– Machulski powiedziałby, że ma dobry czas emisji – i to załatwi mu sprawę. Ja mam nadzieję, że serial będzie oglądany, jeśli tylko widzowie będą wcześniej przygotowani do przyjęcia czegoś innego, niż zazwyczaj oglądają po wieczornych „Wiadomościach”. Że będą uprzedzeni, że to nie kolejny „Savannah” ani kino akcji z rewolwerem. Wierzę, że widzowie tęsknią za czymś, co odbiega od typowych seriali, gdzie wszystko jest czarne albo białe, że chcą zobaczyć człowieka także z innej perspektywy, spróbować go zrozumieć i zaakceptować.

– Co zatem proponuje pani widzom w „Bożej podszewce”?

– Na odmianę kino akcji wewnętrznej. Kino, które pozwala myśleć, niczego nie wyjaśnia do końca, nie dopowiada, nie narzuca. Zawiesza pewne stany psychiczne, pokazuje ludzi w całym ich bogactwie. Nie są oni tylko dobrzy, ani tylko źli. Są rozmaici. Próbuja sami siebie poznać, nazwać, określić, poprawić. Cały czas walczą – ze sobą i ze światem.

– O co walczy Maryśka, główna bohaterka?

– O szczęście, którym los nie chce czy nie może jej obdarzyć. Kończy tragicznie, bo nie potrafi zgodzić się na taki świat i taką siebie, jaką jest.

– Określenie „boża podszewka” odnosi się właśnie do bohaterki. Co oznacza?

– Tak na Kresach mówiono o kimś, kogo uważano za gorszego – „byle kto”, „o, taka boża podszewka”. Dla mnie ma to dodatkowy sens – to próba pokazania tego, co Pan Bóg ma za podszewką, czyli nielukrowanej prawdy o ludziach i świecie.

– Ważną rolę w serialu odgrywa historia.

– Ważną, bo to jest przecież nie byle jaki kawałek historii Polski. Ale historii widzianej bardzo osobiście. Nie chciałam robić jeszcze jednego serialu historycznego. „Boża podszewka” to napraw-

dę rzecz o ludziach. Zaczyna się w 1900, a kończy w 1945 roku. Większość akcji rozgrywa się w Juryszkach Wileńskich, małym dworku na Kresach. Historia jest tu stale obecna, cały czas towarzyszy ludziom, określa ich losy – ale jest podglądana, jakby widziana z ganku. Bez pól bitewnych i cudu nad Wisłą. Każdy jej „błysk” jest dla bohaterów indywidualnym tragicznym przeżyciem.

– Dworek w Juryszkach został wybudowany dla potrzeb filmu w okolicach Konstancina. Ale część zdjęć powstała w naturalnych obiektach, m.in. w Wilnie, dokąd w pewnym momencie przenosi się akcja. Nie było z tym kłopotów?

– Były. Z urodzenia jestem lwowianką. Wilna dotąd nie znałam. Kresy to dla wszystkich nas, Polaków, miejsce niezwykle ważne – kolebka historii, kultury, literatury, tradycji. Nie mogłam się zgodzić na tzw. scenografię w miejsce autentycznego ołtarza w Ostrej Bramie czy Łukiszek – więzienia jedyne w swoim rodzaju, w którym za murami stoi cerkiew. Postanowiliśmy jechać do Wilna. Na sfotografowanie Łukiszek nie dostaliśmy pozwolenia. Zachowaliśmy się więc jak w stanie wojennym. W niedzielę o 5 rano podjechalśmy tam dwoma samochodami. Drugi czekał z zapalonym silnikiem, żeby w razie interwencji wileńskich policjantów uciekać z taśmą. A my z krzakami, w pełnej konspiracji, fotografowaliśmy Agnieszkę Krukównę /filmową Maryśkę/ podchodzącą do bramy Łukiszek, wracającą... Udało się. Natomiast na zdjęcia w kaplicy przy ołtarzu Matki Boskiej Ostrobramskiej dostaliśmy, oczywiście, zgodę. Przez pół godziny mogliśmy tam gospodarować. Ale i tu nie obyło się bez kłopotów. Nie mieliśmy odpowiednio przystosowanego światła. Brakowało podnośników. Na ulicy obok rosyjska ekipa konserwatorska remontowała dom. Mieli dźwig. Wypożyczyli go nam za odpo-





W środku: Andrzej Grabowski  
i Danuta Stenka



# Kino akcji wewnętrznej

**Dla mnie to próba pokazania tego, co Pan Bóg ma za podszewką, czyli Nielukrowanej prawdy o ludziach i świecie.**

wiednią "opłatą" i mogliśmy zaświecić Matce Boskiej przez okno.

– Ciekaw jestem, jak rozwiązała pani w serialu kwestię języka. Autorka powieści z idealnym językowym słuchem używa gwary wileńskiej. Czy ją usłyszymy?

– Nie chciałam zrobić krzywdy pięknej wschodniej melodii, wielokrotnie u nas kaleczonej i ośmieszanej. Chcąc ją zachować, musiałabym zrezygnować z pewnych aktorów, których chciałam mieć, na rzecz tych, których niekoniecznie bym chciała, ale umiejących posługiwać się gwara. Postanowiłam więc zachować tylko oryginalną składnię i słownictwo, rezygnując z wileńskiego zaśpiewu.

– "Boża podszewka", licząca w sumie 15 godzin projekcji, to pani filmowy debiut. Nie obawiała się pani na początek tak olbrzymiego przedsięwzięcia?

– Przedsięwzięcie naprawdę olbrzymie – 3 lata pracy, 3 lata życia, licząc od chwili złożenia scenariusza do kolaudacji. A czy to naprawdę debiut? Nie. Myślenia obrazem, kamerą nauczyłam się, robiąc teatry telewizyjny. Od lat zresztą interesuję się literaturą, która mogłaby zostać opowiedziana językiem filmowym. Jeśli więc chce pan mówić o debiucie, "Bożą podszewką" uważam za debiut jedynie w sensie formatu i technologii.

– Serial rządzi się swoimi prawami.

– Na pewno – zakładając, że mówimy o ambitnych serialach, a nie o telenowelach. Serial narzuca inny sposób opowiadania, inny sposób operowania czasem. Czas... Im jest się starszym, tym bardziej własny staje się problem czasu. W krótkim utworze trudniej pokazać przemianę człowieka w czasie: zmianę jego wyobraźni, mentalności, sposobu widzenia i rozumienia świata. To doświadczenie jest możliwe tylko przy epickim sposobie opowiadania, na jaki pozwala serial.

– Słyszac: "epicki sposób opowiadania" – można pomyśleć, że to próba sięgnięcia do starej i dość zużytej formy, tej z "Nad Niemnem" Orzeszkowej czy "Chłopów" Reymonta, znanych także z filmowych wersji. Nie obawia się pani podobnych porównań?

– Powieść Reymonta bardzo lubię, film też. Ale to zupełnie inny trop: Reymont i Rybkowski próbowali pokazać tamtych konkretnych chłopów

z Lipiec Reymontowskich. Ja próbuję mówić o ludziach, których dzisiaj pan, młody człowiek, przyjmie jako swoich. Dlatego prowokowałam aktorów, żeby na postacie spojrzeli nie poprzez swoje wyobrażenie o przeszłości, ale przez własne, jak najbardziej współczesne, doświadczenia i przeżycia. A Orzeszkowa?... Dlaczego nie? Ale "solona" Gombrowiczem. Lubkiewicz-Urbano-wicz miewa umiejętność obserwowania świata w Gombrowiczowskim stylu. Wiele zjawisk widzi tak, jak postrzegał je autor "Ferdydurke", w życzliwie komiczny, nie pozbawiony ironii sposób. Mam nadzieję, że ten smak pozostał na ekranie.

– Główne role w "Bożej podszewce" grają Agnieszka Krukówna i Danuta Stenka, aktorka przez panią właściwie odkryta. Co sprawia, że tak chętnie z nią pani pracuje?

– Po pierwsze ma talent. Ale nie tylko. Ma ogromną umiejętność koncentracji. Pracujemy na podobnych falach, co jest niesłychanie istotne. Nie muszę niczego drobiazgowo jej tłumaczyć. Obie lubimy, by uczucia pozostawić w zawieszaniu – żeby nie "przegrać", nie dopowiedzieć, pozostawić tajemnicę, której nigdy nie należy odkrywać do końca. Krótko mówiąc, Danka to wielki talent połączony z niezwykłą pracowitością. Ale nie pyta pan o Krukównę – tytułową bożą podszewkę. Dlaczego? A może i lepiej. Najpierw niech ją pan zobaczy.

Rozmawiał  
**MACIEJ MANIEWSKI**  
Zdjęcia: Ryszard Lenczewski  
i Andrzej Musiał/PAT